

Kordian na ziemi

Juliusz Słowacki: „Kordian” Teatr Narodowy. Reżyseria: Kazimierz Dejmek. Dekoracje: Kazimierz Dejmek. Kostiumy: Aniela Wojciechowska.

WYBOR „Kordiana” na zainaugurowanie uroczystości 100-lecia sceny narodowej jest niezwykle trafny nie tylko ze względu na pozycję, jaką zajmuje ten dramat w naszej literaturze romantycznej, ale także na szmat dziejów naszych z nim związany.

Toteż ci, którzy widzieli na scenie polskiej wielu „Kordianów” szli z obecnie przedstawienie niemal z drżeniem.

Spektakl budzi sprzeczne uczucia. Wyrażając je jak najkrócej, można by zaryzykować powiedzenie, że to co jest w dramacie romantyzmem zostało, zapewne w imię nowoczesności, ściągnięte na ziemię do pozycji realizmu. Natomiast, to co jest martyrologią dziejów naszego narodu ukazano w sposób wzniosły, obfitujący w interesujące pomysły i w rezultacie wzruszający.

Stąd pierwsza część dramatu (dwa pierwsze akty) złożona z motywów byronicznego romantyzmu wypadła raczej chłodno i znacznie mniej prze-konywająco - niż „Spisek Koronacyjny”, który stanowi część drugą. Oddzielna sprawa to niemal szekspirowskie Przygotowanie i Prolog, które ukazano bardzo pięknie i wzruszająco. Niewątpliwie do tego efektu przyczyniła się znakomita wręcz kreacja Gustawa Holoubka, który sprawił, że patrząc na jego czarującego Szatana, wierzyło się w siły nadzmysłowe, pomysłowa inscenizacja sceny warzenia w kotle czarownic postaci historycznych (z główną Czarownicą, którą był... Lech Ordon na czele) i piękna pełna prostoty recytacja Andrzeja Szczepkowskiego Prologu zaczynającego się od niezapomnianych słów:

„Boże, zeslij na lud twój wyniszczony bojem

Sen cichy, sen przespany z po-ciech jasnym zdrojem”.

Ale przejdźmy od Prologu do samego widowiska.

Kordiana gra Ignacy Gogolewski. W myśli koncepcji urealnienia wizji Słowackiego złożył on na ołtarzu nowoczesności romantyczne ujęcie postaci Kordiana. Nie dążył do tego, by publiczność wzruszać, nie podkreślał lirycznej strony tej roli. Mówił celowo „zwyczajnie”, po prostu, tak jak-gdyby przemawiał prozą. Zbliżał tym niewątpliwie tekst Słowackiego do dzisiejszego widza, ale pozbawiał go pewnych istotnych elementów. „Sto we mnie żądz, sto uczuć, sto uwiędłych liści” mówi Kordian. Te właśnie „uwiędłe liście”, znamienujące tak charakterystyczny dla romantyzmu swoisty dekadentyzm strząsnął ze siebie aktor jako coś zbyt technicznego, a tym samym pozbawił Kordiana cech byronicznych straceni-ców.

Daje się to w pełni odczuwać w pierwszych scenach dramatu przed próbą samobójstwa, w scenach z Laurą i później Wioletta, w scenie londyńskiej, wreszcie w wielkiej scenie na szczycie Mont Blanc.

Natomiast w scenie u Papieża, która wstrząsała licznymi pokoleniami Polaków, a teraz zmusza nas do porównań nawet z głośnym „Namlest-

nikiem” Hohchuta, zdobył się Gogolewski na mocny ton.

Tenże ton odnalazł Gogolewski w całej drugiej części widowiska. Części patriotycznej martyrologii. Kazimierz Dejmek pokazał tu całą rozciągłość swego reżyserskiego talenta. Miało się wrażenie, że po przeniesieniu akcji do Warszawy, poczuł grunt pod nogami. Scena na placu przed zamkiem przed koronacją cara Mikołaja I pokazana jak najdalej idącymi w oszczędności środkami osiągnęła w pełni swój efekt. Uczestniczący w niej aktorzy byli rzeczywiście ludem warszawskim, wyrażającym głośno swe uwagi i komentarze. Najwspaniałej jednak wypadła scena spisku w podziemiach świętojańskiej katedry.

Zespół środków, jakimi ukazał reżyser tę scenę, gra aktorów z Krasnowieckim jako Prezesem na czele robiły głębokie wrażenie. Gogolewski był tu prosty i przez to wzruszający. W wielkiej scenie przed sypialnią cara, reżyser upostaciował Strach i Imaginację, wstrzymujące Kordiana od wykonania zamachu na cara, w dwu szyldwachach (Lotysz i Nadrowski). Pomysł interesujący, choć ryzykowny, może byłby bardziej efektywny, gdyby zaciemniono scenę. Wstrząsająco wypadła scena w Domu Wariatów całkiem inaczej ujęta, niż w dotychczasowych inscenizacjach „Kordiana”.

Bardzo drapieżnie wypadła główna scena pomiędzy carem (Stanisław Zaczek) i W. Księciem Konstantym (Ignacy Machowski), a rozwiązanie końcowe, w którym wypadki na Polu Marsowym ukazane są jedynie z perspektywy małej garstki widzów, robi wielkie wrażenie.

Tym właśnie wrażeniem kończy się spektakl „Kordiana”.

Nie sposób wymienić wszystkich jego wykonawców. Prócz tych, o których była już mowa, dodajmy przynajmniej jeszcze Zdzisława Mroźewskiego jako hieratycznego Papieża, Janusza Strachockiego wzruszającego w roli starego Grzegorza, Dzwonkowskiego w niewielkiej roli w parku londyńskim, Mileckiego, który pięknie ukazał Nieznajomego w warszawskim tłumie, Szletyńskiego bardzo interesującego dozorcę w szpitalu wariatów. No, i przede wszystkim dwie kobiety: bardzo stylową Halinę Mikołajską w roli zakochanej Laury i Aleksandrę Zawieruszanke - cyniczną Wiolettę.

Skrótowe dekoracje Dejmka, to pokaz nowych pomysłów (świetny ekran jako tło do wielkich scen, dzwony pod Mont Blanc i inne).